Józef Łobodowski
Źródło: *Kultura*, 1978 nr 9

Tragiczna antologia

Ukazała się w kraju bardzo obszerna (ponad tysiąc stron) „Antologia Poezji Ukraińskiej" pod redakcją Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza. Kiedy się ukazała? Bardzo niedawno, skoro pierwsze egzemplarze tej „Antologii" zjawiły się na Zachodzie dopiero wczesną wiosną br. Ale podane są sprzeczne daty. Na drugiej stronie czytamy: „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza", Warszawa, 1976. A na stronie czwartej: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza", Warszawa, 1977. Zaś na stronie 1064: „Druk ukończono w grudniu 1977 roku". Ta ostatnia data jest bodaj najbardziej ścisła i obowiązująca, bo pochodzi od Zakładów Graficznych „DSP", które książkę drukowały. Nakład skandalicznie niski: niewiele ponad pięć tysięcy egzemplarzy! Dobry papier, staranny druk, minimalna ilość błędów drukarskich.

Antologia składa się z pięciu działów, o dość niesprecyzowanych tytułach: „Wiersze ludowe", „Wiersze dawne" (aż do Hryhorija Skoworody), „Wiersze nowe" (do początków wieku XX-go), „Wiersze współczesne" i wreszcie „Wiersze najnowsze", obejmujące poetów, którzy debiutowali już po Drugiej Wojnie światowej. Ogółem jest aż stu jedenastu poetów, co jest i za dużo i za mało. W dalszym ciągu uzasadnię tę opinię. Wierszy doliczyłem się 757- miu; tłumaczy — 67- miu. A więc na pierwszy rzut oka dzieło wręcz monumentalne, poprzedzone dość obszernym wstępem (Stefan Kozak, Florian Nieuważny). Na zakończenie krótkie przypisy, określone, jako „Objaśnienia" (str. 997-1040). Trzeba się temu „monumentowi" przyjrzeć z bliska, tym bardziej, że wychodzące w kraju czasopismo ukraińskie uznało .Antologię" za wydarzenie epokowe („epochalne").

Niestety, nie mogę podzielić tego optymizmu. „Antologia Poezji Ukraińskiej" jest imprezą ze wszechmiar nieudaną. Od razu istotne zastrzeżenie: tylko w nieznacznym stopniu z winy jej redaktorów. Przy wyborze autorów mieli ręce związane, w komentarzach — usta zakneblowane. Napisałem powyżej, że poetów jest i „za dużo i za mało". Za dużo, gdyż dwa ostatnie działy roją się od „socrealistycznych" grafomanów; za mało, gdyż nie ma poetów, przebywających i tworzących na emigracji, a skazanych na banicję ze względów politycznych. W ten sposób obraz poezji ukraińskiej XX-go wieku wypadł najzupełniej fałszywie. Nie amnestionowano nawet zmarłych. A przecież już w latach trzydziestych, po krwawym pogromie twórczej inteligencji, punkt ciężkości literatury ukraińskiej przesunął się zdecydowanie ku Zachodowi. Ten stan rzeczy nie zmienił się po dziś dzień. Antologia, która została zmuszona do zrezygnowania z poetów emigracyjnych, z Małaniuka, Stefanowycza, Laturynskiej, Hordyńskiego, Krawcewa etc., jest antologią okaleczoną

fałszującą historię literatury.

Nie zasłużyli na amnestię poeci zamordowani przez hitlerowców, Ołena Teliha i Ołeh Olżycz. Zupełnie niezrozumiała jest nieobecność Jurija Janowskiego. Prawda, znalazł się w pewnej chwili w niełasce, ale to samo dotyczy innych, dopuszczonych do antologii. Natomiast nie dziwi macosze potraktowanie Wasyla Symonenki, choć ten zmarł dość dawno. Z poetów, przebywających na Zachodzie, uratował się jedynie Bohdan Ihor Antonycz. Dlaczego? Być może, zaważyła data jego śmierci (1937, a więc przed Drugą Wojną Światową), oraz fakt, że nie był działaczem politycznym. Poza tym cenzura prawdopodobnie nie wie, że w roku 1936 napisał poemat, wychwalający obrońców toledańskiego Alkazaru. Gdyby wiedziała, Antonycz prawdopodobnie miałby drogę do „Antologii" zamkniętą.

W przypisach panuje niczym nie zmącona sielanka. O tym, że znakomita większość wybitnych poetów ukraińskich, którzy weszli do literatury mniej więcej w okresie Pierwszej Wojny Światowej, zginęła podczas wielkiego terroru lat trzydziestych, ani jednego słowa. Najwidoczniej wszyscy zmarli śmiercią naturalną. Tylko przy Wasylu Czumaku widnieje lakoniczna notatka, że został „rozstrzelany w Kijowie". Tak, ale rozstrzelali go denikinowcy, więc o tym wyjątkowo wolno pisać.

Zwraca uwagę, że szczególne nasilenie zgonów przypadło na lata trzydzieste, Falkiwskyj i Włyźko — 1934, Fyłypowycz i Szkurupij — 1937, Płużnyk — 1938, Draj-Chmara — 1939 i wreszcie Mykoła Zerow — 1941. Ze słynnej piątki tzw. „neoklasyków kijowskich" udało się uciec za granicę i dzięki temu uratować tylko Jurijowi Kłenowi (Oswaldowi Bukhardtowi), więc konsekwentnie usunięto go z „Antologii". Zbieżność dat jest dostatecznie wymowna. Czyżby akurat wtedy w środowisku literackim szalała jakaś groźna epidemia? Oczywiście, wszyscy wymienieni (i nie tylko oni) zostali rozstrzelani, lub zginęli w łagrach „białej śmierci".

Nieco dziwi pominięcie Jurija Kosacza. Wprawdzie mieszka stale w Nowym Jorku, ale od dawna przeszedł na stronę bolszewicką i odseparował się od narodowej emigracji politycznej; przez dłuższy czas redagował prosowieckie czasopismo, często jeździ na Ukrainę, jest „swoim człowiekiem". Tego chyba należało za „wierną służbę" uwzględnić. Nie uwzględniono, co należy uznać za czarną niewdzięczność.

Tu na marginesie luźna uwaga. Cui bono redaktorzy podali wszystkie nazwiska ze spolonizowanymi końcówkami. Wełyczkowski, zamiast Wełyczkowśkyj, Kotlarewski, zamiast Kotlarewśkyj, Metłynski, Rudawski, Starycki, Rylski itd. Bardzo dziwna decyzja, tym dziwniejsza, że imiona zachowano w brzmieniu ukraińskim. Np. Petro Karmanski... Konsekwentnie byłoby Piotr Karmanski, albo Petro Karmanśkyj. Ta dziwaczna dowolność na pewno urazi nie jednego czytelnika.

Sprawą znacznie ważniejszą jest wybór utworów. Jest z tym bardzo różnie. W poszczególnych wypadkach redaktorzy musieli znowu natrafiać na poważne trudności, podyktowane głównie

względami politycznymi. Na korzyść redaktorów należy zapisać szczęśliwe uniknięcie nadmiaru pseudopoetyckiego „socrealizmu”. Zwłaszcza cieszy brak wiernopoddańczych dytyrambów pod adresem Stalina, jakimi swego czasu zhańbili się poeci tej miary, co Maksym Rylśkyj i Mykoła Bażan.

Z literackiego punktu widzenia dość daleko idącym nieporozumieniem jest dział „Wiersze najnowsze” (z pewnymi wyjątkami). Trzydzieści sześć nazwisk, prawie trzysta utworów, które zajmują przeszło trzysta stron, a więc jedną trzecią całego tomu. Dysproporcja w zestawieniu z innymi działami oczywista. Najwybitniejszy z tych autorów, Wasyl Symonenko, został potraktowany, jak już podkreśliłem uprzednio, po macoszemu; wszystkiego pięć krótkich wierszy i to drugorzędnych, nie dających żadnego pojęcia o tym utalentowanym, przedwcześnie zgasłym poecie. Wśród pięciu zamieszczonych wierszy ani jednego o patriotyczno-politycznym wydźwięku, tak typowym dla Symonenki. To samo dotyczy Iwana Dracza. Ale o to pretensji do redaktorów tomu, ze zrozumiałych powodów, mieć nie można.

Aż dziewiętnaście wierszy otrzymał Ostap Łapskyj, o którym redaktorzy informują (nigdy o nim przedtem nie słyszałem), że urodził się we wsi Hucki koło Kobrynia w roku 1926. Studiował rusycystykę na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie ukrainistykę w Warszawie. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, jako wykładowca literatury ukraińskiej, oraz w Polskim Radio. Tłumaczy poetów z kilku języków, między innymi Polaków na ukraiński i Ukraińców na polski.

Dziewiętnaście wierszy! Znacznie więcej, niż otrzymał Zerow, więcej, niż Bażan, prawie tyle, co Tyczyna i Rylskyj. Skąd tak wielkie wyróżnienie? Chyba zaważyły osobiste kontakty, bliska znajomość, może nawet przyjaźń... Bo Łapskyj uprawia pseudopoezję, na domiar złego pretensjonalną, pozującą na głębię intelektualną, której nie posiada. Oto tytułem ilustracji parę przykładów. „Ani dnia bez zamachu / więc walczę w imię wiatru. / Wynik z czoła lodowiec spełzł / zapis acz skąpy ale widomy”. Albo: „Nie po głębszym / trzeźwy tworzę. / Potrzeba nie lada hartu / by u progu każdego nowego roku / wypowiadać stale starą troskę. / Nie ma nas. / Istnieje bez nas / tęskni pełna pusta nazwa. / Z pasją wyrażam dążenie”. Jeszcze jeden przykład, już ostatni, by czytelników zbytnio nie nudzić: „Gdyby dwa plus dwa / dawało choć trzy, / gdyby dwa plus dwa, / dało choć dwa, / gdyby dwa plus dwa, / dało choć jeden?! / Jakbyś nie kręcił się sobie / nie masz jednostki w osobie! / Powstaje zatem pytanie / dylemacik dęba staje, / w biały dzień odejść logicznie: / duchowo, a czy fizycznie?”.

A więc bełkot dotarł także do najnowszej poezji ukraińskiej? Pewnie, bełkot totalitarnej dyktaturze nie szkodzi, nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Ale „Antologię” to mocno popsuło, dorzuciło jeszcze jeden niemiły zgrzyt. Naturalnie, chodzi o grzech, w zestawieniu z innymi, drugorzędny. Najważniejszy, śmiertelny; pominięcie emigrantów. Ale raz jeszcze: nie ma w tym winy redaktorów. Znaleźli się oni w znacznie gorszej sytuacji, niż redaktorzy podobnych antologii polskich, napotkali na rygory wielokrotnie obostrzone. W polskich antologiach emigranci są

uwzględniani, choć nie wszyscy. Tu nie wolno było przemycić ani jednego.

Omówienie tomu byłoby niepełne, gdybym pominął milczeniem poziom przekładów. Z natury rzeczy musiał być bardzo nierówny, przy tak wielkim natłoku tłumaczy. Przekładów przedwojennych stosunkowo mało: głównie Tadeusza Hollendera, Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, Józefa Czechowicza, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Rzecz prosta, brakuje przekładów niżej podpisanego. Co prawda, przekładałem najczęściej poetów emigracyjnych, więc i tak nic z tego, choćby nazwisko tłumacza nie było trefne. Ale właśnie dlatego zabrakło w tomie świetnej „Hamaliji" Tarasa Szewczenki. No, Bóg z nimi!

Jest tu sporo przekładów najzupełniej przypadkowych: Władysława Orkana, Stefana Żeromskiego, Kazimierza Wierzyńskiego... We wstępie czytamy, że „ogromna większość tekstów poetyckich... została przełożona po raz pierwszy". Istotnie. Najczęściej spotykają się nazwiska Jerzego Litwinniuka, Jerzego Jędrzejewicza, Tadeusza Chróścielewskiego, Eustachego Łapskiego, Józefa Waczkowa, Piotra Kuncewicza, Tadeusza Śliwiaka, Andrzeja Szymańskiego, Bohdana Drozdowskiego, oraz obydwu redaktorów, Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza. Zdarzają się przekłady dobre, nawet bardzo dobre, ale przeważa partacka amatorszczyzna. Wygląda na to, że redakcja nie miała większego wyboru, musiała akceptować także tłumaczy z nieprawdziwego zdarzenia.

Nie chcę być gołosłownym. Zatrzymam się na dwóch słynnych sonetach Mykoły Zerowa: „Salomea" i „Nauzykaa". Przełożył je Bohdan Drozdowski, dobrze znany Polakom londyńskim z lat, gdy w stolicy Anglii uprawiał „zbliżenie kulturalne", a obecnie redaktor naczelny miesięcznika Poezja. Te dwa sonety mają swoją wymowę także pozaartystyczną: Zerow w osobach dwóch mitycznych kobiet przeciwstawiał dwie odmienne cywilizacje i dwie postawy kulturalno-moralne. Po iluś tam latach podejmie to samo przeciwstawienie Jewhen Małaniuk, przenosząc je w inne czasy i kręgi cywilizacyjne: Beatrycze i Karmen. Przyjrzyjmy się przekładom Drozdowskiego.

Oto pierwszy czterowiersz „Salomei": „Tam lewantyński miesiąc czyni czary / i krew gorącą w sercu rozkoleba; / tam dzika miłość kwitnie, gdzie jej gleba, / więc krew obryzga i hełmy i tiary". Nie potrzeba zestawiać z oryginałem. I bez tego jest jasne, że tłumacz nie panuje w dostatecznym stopniu nad językiem polskim. „Rozkoleba", „obryzga" — a cóż to za styl godny półanalfabety! Dalej: „gdy w jego słowie zgorzel i pożary"... Niedobrze z kolejnością! Chyba najpierw były pożary, a dopiero potem „zgorzel"? „Smukła córka króla Feaków" zamieniła się pod wprawną ręką Drozdowskiego w „kwiatek uroczy". Skoro już musimy wąchać ten „kwiatek", trzeba również połknąć strzelisty zwrot „Duszo ty moja!", a tym samym przystać na infantylne upodobania niewydarzonego stylisty.

Drozdowski popełnia dwa główne grzechy kiepskiego tłumacza: watuje dla rytmu i naciąga tekst do rymu. Pewne koncesje formalne w praktyce przekładowej są nieuniknione, ale tu partacka robota występuje w całej okazałości. „I stanął Odys i z podziwu jęknął..." To na widok urody

Nauzykai. Nie pamiętam, jak jest w oryginale, ale na pewno nie „jęknął” — na to Zerow był zbyt wielkim artystą. Czemuż to właśnie jęk wyrwał się z potężnych piersi Homerowego bohatera? Ano, bo Drozdowskiemu był potrzebny asonans do końcowego — „Wcielone Piękno!”.

Językotwórca z niego niebywały! „Na długim stole moim papier się fałdą wzdyma...”; „pęcznieje dal ciężkich nawisem par...” (zapewne chodzi o opary); „z czarnych dni wojny jeszcze nie dotlonej...”; „car Odys przygnał swoje czółna gonne...”. I tak na każdym kroku. Składnia coraz to wpada w sidła zupełnie niedopuszczalnych zawiłości: „Ku żądzy ciemnej smutnych szaleństw próg”. I to w wierszu Pawło Fyłypowycza, gdzie wszystko jest jasne i proste, właśnie „neoklasyczne”. Przekłady Drozdowskiego to jeden z największych niewypałów tej „Antologii”.

No, ale to znany grafoman, więc czegóż można było po nim się spodziewać! Zobaczmy, co z jednym z lirycznych utworów Tyczyny zrobił nie byle kto, bo sam Julian Przyboś, „papież awangardy”. Pamiętajmy, że autor „Słonecznych klarnetów” odznaczał się wyjątkową muzykalnością: zagubienie melodyjności jego wiersza to egzekucja poety. Oto dwa ostatnie wersy interesującego nas lirycznego drobiazgu: „Ach, na światła się rozbij w akordach, rozszlochaj się — i ruń w płacz jak grom”.

Język polski nie znosi organicznie nagromadzenia słów jednosylabowych: tu mamy ich aż pięć" i — ruń-w-płacz-jak-grom”. Autentyczna kakofonia! Ale nie tylko to. Tyczyna zastosował kombinację trochejów z amfibrachami, ukoronowaną jambami w co drugim wersie. W zacytowanym dwuwierszu mamy najpierw dwa trocheje — Ach na — światła... następnie dwa amfibrachy — się rozbij — w akordach... Ucho oczekuje, że drugi wers zacznie się tak samo, ale Przyboś złamał niepotrzebnie rytm, wprowadzając na początku drugiego wersu amfibrach „rozszlochaj się”. Wtedy otrzymamy dwa trocheje, ale za cenę sztucznego przerzucenia akcentów, które normalnie powinny paść na „szlo” i „się”. Kakofonia powiększa się, tyczynowska melodia zatraciła się bez śladu.

Myślę, że ta porażka nie była przypadkowa. Przyboś we własnej twórczości i w teoretycznych uzasadnieniach odrzucał rytmiczną melodyjność, więc nad wersyfikacyjnym rzemiosłem nie mógł i nie chciał panować. Ale po co w takim razie zabrał się do takiego poety, jak Tyczyna, u którego wszystko oparte jest na rytmie. „Społeczne zamówienie?” Raczej nie, skoro nazwisko Przybosia zjawia się w „Antologii” tylko ten jeden jedyny raz. Z tego byłby wniosek, że zgłosił się ochotniczo, by zepsuć jeden z piękniejszych wierszy Tyczyny. „Papież awangardy” nie potrafił przy tej okazji znaleźć się na poziomie choćby poprawnego organisty.

Za przykład absolutnej nieporadności technicznej uznać wolno tłumaczenie znanego utworu Iwana Franko o niedoli kobiecej: „Gdzież to nie lały się łzy wasze...?” Tłumacz, w osobie Włodzimierza Słobodnika, nie tylko arbitralnie zmienił rozlewny rytm, skracając wiersze nie wiadomo po co, ale ponadto nagiął tekst do rymu w sposób wręcz skandaliczny. Już w pierwszym wersie zjawia się zdanie, o którym autorowi w ogóle się nie śniło: „W naszych dziejach gdzież

potok nie bryźnie...”. Potrzebny mu był rym do Kijowszczyzny (także w oryginale jej nie ma) i do pańszczyzny, bo mu żaden lepszy pomysł nie przyszedł do głowy. Natychmiast też popełnił błąd gramatyczny, pisząc: „na chańszczyźnie i na pańszczyźnie”. Oczywista, powinno być „pod chańszczyzną”, ale co to partacza obchodzi! Swój popis zakończył zwrotem antypoetyckim, naturalnie również nie istniejącym w oryginale: „Słyszę żałość nie byle jaką!". Żałość — owszem, ale przekład jest gorzej, niż byle jaki!

Gdy Słobodnik debiutował gdzieś w drugiej połowie lat dwudziestych, uznano go za obiecującego poetę; potem z roku na rok szło coraz gorzej. Jako tłumacz, wsławił się humorystycznym przekładem lermontowskiego poematu „Pieśń o Carze Iwanie Wasiljewiczu...”, który w literackich kołach warszawskich stał się pośmiewiskiem („I podłoga dębowa, świeżo umyta, została na trzy ćwierci posochem przebita...”).

Mógłbym mnożyć podobne przykłady jeszcze na kilku stronach; niech wystarczą podane. Nie znaczy to, by nie było w „Antologii” przekładów niezłych, a nawet udanych i całkiem dobrych. Ale są w mizernej mniejszości i ogólny bilans wypada, niestety, negatywnie. Podejrzewam, że w dość licznych wypadkach jedyną legitymacją do wzięcia udziału w wypełnieniu tego potężnego rozmiarami tomu, była znajomość języka ukraińskiego. Naturalnie nie mogła wystarczyć. Zamiast mobilizować całe pospolite ruszenie, chyba lepiej byłoby skompletować niewielką grupę tłumaczy i pracować zespołowo, kontrolując siebie i doradzając nawzajem.

Ten spóźniony pomysł nie pochodzi od przekonanego o całkowitej jego skuteczności. Jak we wszystkim, także i pod tym względem jestem zwolennikiem „inicjatywy prywatnej”, czyli wysiłku indywidualnego. A i cóż na to poradzić, że dobrzy, odpowiedzialni tłumacze nie rodzą się na kamieniu. Wielka szkoda!

W zamieszczonej w „Antologii” „Fraszce” Ioana Wełyczkowskiego (wiek XVII-XVIII) czytam: „O mozole pisania wierszy wiedzieć nie może ten, kto nie pisał ich wcale. Mniemasz, iż łatwo...”. Tak, tak, już ów stary presbiter, pisujący wiersze w manierze barokowej, wprowadzonej na ówczesną Ukrainę przez Akademię Mohylańską, wiedział sporo o owych „mozołach”, o trudnościach i zawiłościach wersyfikacyjnego rzemiosła. Nie wszyscy tłumacze zdają sobie z tego sprawę. Dobrymi tłumaczami są zazwyczaj poeci, choć i to nie jest regułą obowiązującą. Np. Edward Porębowicz nie pozostawił po sobie, o ile wiem, ani jednego oryginalnego wiersza, a jego przekłady pozostaną w literaturze (najlepsze: trubadurów prowansalskich, następnie „Vita Nueva”, dopiero na dalszym miejscu „Boska Komedia”).

Wśród tłumaczy, których prace wypełniły omawianą ‚Antologię”, znalazło się kilku poetów z prawdziwego zdarzenia i to właśnie ich przekłady są najlepsze (nie zawsze — kompromitującą wpadką Przybosia już przedstawiłem). Ale jedna, ani nawet parę czarnych owiec nie powinny rzucać cienia na całą owczarnię. Jakże pragnąłbym napisać o tej „Antologii” pochwalnie! Doceniam inicjatywę redaktorów i włożoną przez nich pracę. W warunkach, w jakich się znajdują,

nie mogli się zdobyć na nic lepszego.

Nie zmienia to faktu, że autentyczna Antologia Poezji Ukraińskiej będzie mogła ukazać się dopiero w Polsce Wolnej. Chyba, że, zanim to nastąpi, wyprzedzi ją emigracja.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S. Pozostaje do wyjaśnienia, dlaczego w tytule nazwałem te „Antologie" „tragiczną". Właśnie dlatego, że tragiczna jest sytuacja ludzi najlepszej woli, którzy ze względu na drastyczne, drakońskie zarządzenia uzurpatorskiej władzy nie mogli dać pełnego obrazu interesującej ich poezji. Tragiczna jest kultura narodu, poddana tylu naciskom, nakazom i zakazom. Sądzę więc, że tytuł tej krótkiej recenzji jest w pełni uzasadniony.

J. Ł.